

Skoro nie możemy żyć jak ludzie, postarajmy się przynajmniej nie żyć jak zwierzęta.

- **José Saramago, *Miasto Ślepców* (1995)**

Rozdział 2: SID

Marek „Obcy” Dryjer

Rozległ się przerażający krzyk, padły strzały, a potem zapanowała głucha cisza. Chłopiec ocknął się z półsnu, był wystraszony i z trudem oddychał. Próbował nasłuchiwać, ale powracający kaszel utrudniał ocenę sytuacji. Dławił się, kiedy przysłaniał spierzchnięte usta. Nabrzmiałe policzki pulsowały, twarz pokryła się purpurą, a oczy łzawiły. Przetarł je brudną ręką i powachlował powiekami. Wypatrywał ruchu w połyskujących ciemnościach. Zygzakowate błyskawice pojawiły się w oddali, zapłonęło niebo. Miasto paliło się już od wielu tygodni, języczki czerwonego ognia i smugi gryzącego dymu szczelnie przykryły Wrocław. Chłopiec uspokoił oddech, poczuł gorzki posmak migdałów na języku. Poczekał jeszcze chwilę, a potem bez słowa powstał z wilgotnego podłoża i pochyłony, niczym schorowany starzec, wolno pomaszerował prosto w mrok. Zaskrzypiał metalowy właz, którego wieko uderzyło o betonową ścianę. Kilka sekund później podziemia dworca Głównego ogarnął, mrozący krew w żyłach huk, zamykających się ciężkich wierzei. Chłopak zakręcił korbą i zarygłował wejście do tunelu. Za drzwiami, tam skąd przyszedł, błysnęły w ciemności słupki pionowych źrenic. Potem pojawiły się kolejne i następne jeszcze wybałuszone oczy, i wszystkie zgodnie patrzyły w stronę odgradzonego od nich metalowym włazem zagadkowego miejsca. Stwory zasyczały z niezadowolenia i bezszelestnie zniknęły w oparach mlecznej nocy.

Chłopiec obudził się.

— Zły sen, zła wróżba — pomyślał.

Był szczuplej postury i miał piętnaście lat. Blond czupryna skrywała się pod naciągniętą na głowę starą maską. Czarnym uniformem wycierał pobielone ściany ciemnego tunelu. Słyszał wodę, która skapywała z sufitu. Kawalkiem papieru sprawdził cyrkulację powietrza.

— Muszę zdobyć lepszą maskę — pomyślał. — I latarkę, albo zapalniczkę, która rozjaśni mi te piekielne tunele.

Do jego uszu dotarło głuche echo uderzeń w metalowe drzwi.

— Dobijają się, są głodne, kimkolwiek są, bo na pewno nie ludźmi.

Uderzył się w czoło, żeby odreagować złe emocje. Zapanowała cisza, którą od czasu do czasu przerywał szelest jego butów na zaśmieconym podłożu. Kiedy przystawał, nieuchwytna cisza powracała, tak jakby bawiła się z nim w kotka i myszkę. Po następnym kroku zamknął oczy, usłyszał wtedy kolejny odgłos, tym razem dobiegający z wnętrza tunelu. Usłyszał skrobanie metalowym ostrzem o ścianę, które zaraz ustało. Wstrzymał oddech, zbitka szalonych myśli przetoczyła się przez jego głowę. Namacał ręką kamień i czekał. Minuty przeciągnęły się w godziny. Ktoś w końcu przemówił:

— Oni by tyle nie czekali. Ty nie jesteś jednym z nich.

Chłopiec tylko słuchał. Po głosie wywnioskował, że mocno zdarte gardło należało do starszego człowieka, który nie stanowił chyba zagrożenia.

— Boisz się — ponowił mężczyzna. — Rozumiem, ja też się boję.

— Od dawna? — wyrwało się chłopcu.

— Młodyś — uśmiechnął się starszy człowiek. — Ongiś też się bałem.

— Kim jesteś?

— Nikim ważnym. A ty, kim jesteś?

Młodzieniec milczał.

— Milczysz? Rozumiem. W tych czasach należy pilnować słów, żeby ktoś ich przypadkiem nie skradł, bo co nam pozostało cenniejszego?

— Życie — odparł chłopak.

— Młodyś, mało jeszcze widziałeś. Powiadasz, że życie. A jakie jest to twoje życie? Czy jest dobre, beztroskie, czy ma może smak rachatlukum?

Chłopiec odruchowo przełknął ślinę.

— Jest złe, pełne problemów i ma smak głodu, ale to moje życie, jedyna cenna rzecz, która mi pozostała.

Mężczyzna zaczął kaszleć, po chwili splunął. Poczul w ustach smak krwi.

— Skoro tak mówisz. Mnie tam wszystko jedno. Dokąd idziesz?

Chłopiec znowu nie odpowiedział.

— Tak myślałem. Masz, czym zahandlować?

— Nie mam nic na zbyciu.

— Rozumiem. Nic nie masz i niczego nie potrzebujesz?

— Dobrej maski potrzebuję — oznajmił chłopiec.

— Ciszej, kurna, bo się tu zlecą — skarcił go mężczyzna. — Mam na zbyciu maskę, pokrytą cienką warstwą szkła ołowiowego, ale potrzebuję coś w zamian. Co chowasz w kieszeniach? Alkohol, papierosy? Broni i tak pewnie byś mi nie dał.

— Mam nasze banknoty, trochę zużyte, ale widać jeszcze na nich polskie głowy koronowane. Dam ci setkę?

— Mamona? Nic niewarte papierki. Masz coś jeszcze?

— Nie.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad czymś.

— Dobrze. Dam ci maskę na kredyt. Będziesz mi coś winien.

— Co?

— Nie wiem. Coś.

— Dobrze — powiedział chłopiec. — To uczciwy układ.

Mężczyzna wyjął z plecaka zapasową maskę i podał chłopcu. Zrobiło im się różnie. Przyzwyczajeni do samotności tak samo, jak do ciemności, stronili od obcych i od światła. Chłopiec ukrywał się w ruinach miasta, za dnia przemierzał zgliszcza wypalonych kamienic, nocami schodził do kanałów. Mężczyzna mieszkał w katakumbach dworca, był zasłużonym kolejarzem, znał plany i tajemnice całego kompleksu. Jego ojciec i dziadek projektowali stacje i rozległe kazamaty Głównego. Kolejarz dobrze wiedział, że pod dworcem był obszerny, wielopoziomowy schron o kilkumetrowych, żel-betonowych ścianach, a za nim poniemiecki szpital z czasów II wojny światowej. Pod obecnymi torami, wiele metrów pod ziemią, było ukryte pierwotne torowisko, które rozbudowano. Wydrążono nowe tunele i jeszcze dalej poprowadzono podkłady podziemnej kolejki. Zbombardowane i niemal zrównane z ziemią w 1945 roku miasto Breslau miało metro. Dokąd prowadziły jego tunele?

— Załóż nową maskę — powiedział mężczyzna, po czym dotknął chłopca czujnikiem promieniowania, prototypem PRS-1W. — Czystyś, dobrze. Nie mamy czasu. No pójdźże już.

— Promieniowanie? — zapytał chłopak.

— To także. Wiesz, mózg się topi, płuca się rozkładają, te sprawy.

Chłopiec zrozumiał sugestię kolejarza. Założył maskę i przetaił zaparowane szybki, usłyszał zmieniony oddech. Mężczyzna ubrał maskę i zakręcił kołem. Zaskrzypiały drzwi, do wnętrza tunelu wślizgnęła się lśniąca niebieska mgiełka. Połyskująca i skrząca się na zewnątrz ciemność sprawiała wrażenie fosforyzującej kotary, która zasłaniała ściany i sufit. Mężczyzna i chłopiec wyszli z tunelu i wtopili się w lśniąca poświatę. Przez wyrwy w dachu dostrzegli bordowe niebo. Chłopcu zdawało się, że szare ściany spoglądają na nich wielkimi dziurami po kulach karabinowych. Kurzyło się podłóże. Stosy śmieci, szmat i butelek walały się gdzie popadnie. Wiatr syczał w ruinach murów, frontowe wieże były powalone, a z zegara pozostały zaledwie kawałki potłuczonego szkła i pogięty metal. Wskazówki ktoś ukradł.

Mężczyzna wskazał chłopcu czwarty peron, a kiedy go minęli, złapał młodego za rękę i poprowadził schodami prosto do głównego holu. Ciągle się przy tym rozglądali. Chłopiec nie chciał iść, gdyż był świadkiem bestialskiego gwałtu i mordy na młodej ślicznotce, którego tam dokonano. Do dziś słyszy we śnie jej błagalny głos.

— Idziemy — poganiał go mężczyzna. — Weźże się wreszcie rusz, musimy zdobyć wodę i wiktuały.

Chłopiec potwierdził głową i przestał się szarpać.

Schody łączące peron z holem były dziurawe. Na ścianach długiego korytarza wisały zakrwawione plakaty i podarte rozkłady jazdy. Chłopiec ledwo odczytał ich rok. Pod sufitem ujrzał pogięte podkłady torów, a pod nogami popękaną, kwadratową kostkę. Na końcu holu dostrzegł połyskujące światło. W pierwszej chwili pomyślał, że to wyładowania

atmosferyczne albo radioaktywne luny. Było to jednak tylko światło latarki.

— Nie idźmy tam — szepnął chłopiec.

— Tam jest skład wody. Drzewiej, co poniektórzy zrobili wielkie zapasy.

— Byli zapobiegliwi — zażartował chłopiec.

— Raczej cwani, już wtedy myśleli, jak się tu dorobić na tragedii. Młodyś, naiwny. Tacy długo nie pożyją. Skończysz z kulką w głowie albo w garnku tych maskaronów.

Chłopca zmroziło, przywarł do ściany. Ktoś poruszał się w ich kierunku, światła latarek błyskały na gzymsie. Świetlne zajaczki gonily się po obdartych z gipsowego tynku bladych ścianach.

— To królestwo Wodniaka — powiedział mężczyzna. — On tu teraz rządzi. Plotki głoszą, że był nikim i że skupywał butelki w tysiącach. Nikt nie wiedział, po co to robił, aż do czasu tragedii. Wtedy stał się kimś.

Świetlne zajaczki zniknęły i rozległy się strzały. Terkot automatów wypłoszył wielkie szczury z pobliskich kanałów. Na przedzie korytarza pojawiły się przygarbione sylwetki, które niemrawo szły w stronę chłopca. Na pobliskich peronach zrobił się szum, słyhać było kastaniety.

— Otoczyli nas — powiedział chłopiec.

Mężczyzna spojrział w stronę czwartego peronu.

— Idzie noc, wyłażą z ciemności, będą polować. Kładą się spać dopiero o brzasku.

Chłopiec złapał kolejarza za rękę. Mężczyzna spojrział dziecku w oczy, które były duże i wystraszone. Dostrzegł je przez szybki maski

ochronnej. Szkliste spojrzenie mężczyzny świadczyło być może o jego postępującej chorobie. Obaj przyłgnęli do zimnej ściany. Mroczny hol przecinały pasy jasnego światła. Na ścianach drgały pajęczyny. Rozwalone do cna budki, w których kiedyś sprzedawano zacne knysze, straszyły swym widokiem. Pogięte dachy, wybite okna i przerdzewiała konstrukcja. Stosy gruzów i śmieci. Świeża krew na posadzce.

Zamaskowane sylwetki otoczyły krępego mężczyznę na środku przejścia. Kolejarz z chłopcem, przyczajeni za jedną z budek, zerkali w jego stronę.

— Jak nic zaraz go zakatrupią — powiedział chłopak.

— Może tak, a może nie. Buńczuczny jest, będzie gorąco.

Chłopiec przyłgnął do ściany, po chwili jednak odważnie wyściubił nos, do miejsca, gdzie w pełni dostrzegł pole walki. Napastnicy trzymali w rękach siekiery, automatów nie było widać. Rozległ się przeraźliwy skowyt.

— Nie patrz tam — powiedział mężczyzna do chłopaka, ale ten nie odwrócił głowy.

— Chcę patrzeć.

— Dobrze, zatem patrz.

Siekiery poszły w górę, stwory w szarych kombinezonach wzięły zamach. Stojący pośrodku nich w niebieskim uniformie mężczyzna przyjął postawę bojową. Na chwilę zamarli, a potem ponownie rozległ się niszczący umysł dziki skowyt. Ruszyły na niego, niczym sfora wściekłych psów. Uchylił się przed pierwszą siekierą, której ostrze uderzyło w podłogę. Poszła iskra, broń wypadła szpotawemu osobnikowi z ręki. Potem padł drugi cios, zadał go olbrzymi mutant, w którego łapie

śmiercionośny oręż wyglądał jak zabawka. Tego razu mężczyzna także nie przyjął. Złapał większego od siebie osobnika za rękę i powalił na ziemię. Chwilę później wbił mu nóż, aż po rękę i rozpruł wnętrzności. Ryk zarzynanej bestii zamienił się w kwilenie. Krwawa plama pojawiła się na podłodze. Kompani zabitego ślizgali się na blado-bordowej cieczy. Na rozdeptanej wydzielinie uformowały się podłużne ślady butów.

— I powiedzcie Wodniakowi, że po niego wrócę! — krzyczał mężczyzna, kiedy zabijał następnego stwora. Pozostałe mutaki wzięły nogi za pas. — Nic do was nie mam. To tylko interes.

Chłopak nie wytrzymał i poderwał się z miejsca. Miał już dość krwawych obrazów i przerażających odgłosów. Nieznajomy go dostrzegł. Na nic zdały się próby ratowania sytuacji przez kolejarza, który próbował pochwycić dzieciaka.

— Stój, bo strzelę!

Spluwa była wycelowana w głowę dziecka. Po tym, jak nieznajomy obszukał trupy mutaków, którym zzuł buty, podbiegł do drżącego chłopca. Upchał wcześniej do plecaka z trupią czaszką, wyłożonego ekranem ołowiowym zebrane fanty: fajki, okowitę, zapalki, żarcie i... wodę. Zaledwie kilka szklanych butelek, oklejonych tandetną etykietą z widocznym logo Wodniaka.

— Mówiłem, żebyś się nie ruszał!

Chłopiec milczał.

— Wyłaź stamtąd! — krzyknął nieznajomy w stronę ukrywającego się za stertą kłopotów kolejarza. — No już, bo załatwię młodego!

Mężczyzna wychylił głowę zza winkla, po czym wyprostował się i wyszedł przed pogiętą i sypiącą się budę. Nic nie powiedział, tylko zerkał.

— I co ja mam z wami zrobić? — dumał nieznajomy, który rozglądał się i nasłuchiwał. — Puścić nie mogę, bo nie wiem, coście za jedni? Może od Wodniaka? Muszę was zabić, najpierw starego!

— Nie! — krzyknął chłopiec.

Jego głos był wyjątkowo silny, o niespotykanym brzmieniu, aż nieznajomy musiał zasłonić uszy.

— To nie jest żaden stary, to mój dziadek.

Nieznajomy zerknął podejrzliwie na młokosa.

— Dla mnie stary i lepiej niech tak zostanie, rozumiesz młody? Nie mam czasu na zbędne gadki. Muszę iść, a nie mogę was tak zostawić — powiedział i przeładował broń, którą wycelował w kolejarza.

— Weź to — rzekł trzęsący się ze strachu mężczyzna, kiedy wyjmował z kieszeni kilka przedmiotów. — Weź, przyda ci się, to resztki ocalonej elektroniki, popsutej, ale kto wie, może da się to poskładać. Mam też bezcenny miernik promieniowania.

Nieznajomy opuścił broń.

— Nie jestem złodziejem.

— Nie jesteś — powtórzył jego słowa kolejarz.

— Uważaj! Myślisz, że jest inaczej? Twierdzisz, że kłamię?

Kolejarz podniósł ręce do góry, kiedy zobaczył ponownie wycelowaną w jego stronę broń.

— To nie jest kalumnia. Nie twierdzę, że kłamiesz. Kiedyś ludzie kłamali i oszukiwali się na potęgę, ale teraz to się nie zdarza, bo i po co niby mieliby to robić?

Nieznajomy nie rozumiał.

— Nie chcę waszych fantów, od tamtych wzięłem, bo nie będą już im potrzebne. Mam, co chciałem i więcej nie potrzebuję.

— Nie zabijaj nas — powiedział chłopiec.

— Jeżeli tego nie zrobię, będę musiał was ze sobą zabrać. Jeśli was nie zabiję, to tak, jakbym was nie ocalił. Będę więc za was odpowiedzialny. Tu śmierć jest najlepszym rozwiązaniem. Musicie być mi potrzebni. Co oferujecie, świerszczyki z panienkami?

— Wiem, gdzie jest radiostacja — powiedział chłopiec.

— Bujda, żadna nie ocalała. Poza tym, po co mi ona?

— Mówią, że na zachodzie Europy świat ocalał...

Nieznajomy podejrzliwie zerknął na młodego.

— Kto tak mówi?

Chłopak nie wiedział, co powiedzieć. Nerwowo poprawiał maskę, tak jakby go uwierała.

— Mówią tak ci, co ocaleli — rzucił stary. — Politykierzy, ukrywający się w schronie pod placem Solnym i w podziemiach Rynku.

— Rozmawiałeś z nimi?

— Tak.

— Pod miastem są tunele?

Kolejarz zanim odpowiedział, spojrział na chłopca, który uśmiechnął się do niego. Uśmiechu nie było widać, ale najstarszy w tym gronie dostrzegł go w oczach młokosa, albo tak mu się przynajmniej zdawało.

— Są tam, i nie są to imponderabilia. To prawdziwe kazamaty, labirynt kanałów i tuneli, wielkie schrony, podziemne miasto...

— A kolej, też tam jest? Podziemna kolej?

Kolejarz odprężył się.

— Metro?

Nieznajomemu błysnęły oczy. Schował broń i założył plecak.

— Tak, o metro mi chodzi. Dokąd prowadzi?

— Ponoć Hitler miał stąd podziemne połączenie z zamkiem Książ, a tunele drążyli także w stronę Wilczego Szańca. Sudety były rozkopane. Opancerzone pociągi były widziane, jak wyjeżdżały spod ziemi na wysokości Bielan Wrocławskich. Jedna nitka metra miała prowadzić do Berlina.

— I ty pewnie znasz mapę podziemnego miasta?

Kolejarz potwierdził skinieniem głowy.

— Ocaliłeś skórę, którą i tak trzeba chronić, ale te kombinezony wprowadzone do sprzedaży w 2012 roku nie były przetestowane w warunkach bojowych. Amerykański szajs, nic więcej. Ruskie są lepsze. Wiem, kto takie ma. Ten Berlin daje do myślenia. Zbieramy się, lepiej nie włóczyć się nocą po mieście.

— A Wodniak? — zapytał chłopak.

— Ukrywa się w tunelu, pod schroniskiem dla bezdomnych na Małachowskiego. Zdobyłem trochę jego wody na mutakach, ale do niego nie mogę dotrzeć. Skurczybyk zapadł się pod ziemię.

— Wiem, jak tam trafić — powiedział kolejarz. — Znam ten tunel.

Nieznajomy zaśmiał się.

— To dobrze, stary. Młody wskaże nam łączność. Razem się stąd wydostaniemy i jeśli świat nie umarł, odnajdziemy naszą ziemię obiecaną, ostatni bastion ludzkości.

— Jak cię zwać? — zapytał kolejarz.

— Sid. Mówcie mi Sid.

Kilka następnych godzin przesiedzieli w jednym z tuneli pod dworcem. Chłopak zdrzemnął się, kolejarz w tym czasie zdradził Sidowi kilka podziemnych sekretów. Zapalili po papierosie. Polskie były dobre i mocne. Urywały ryj i dusiły, jak oznajmił Sid.

— Stacja zero znajduje się trzydzieści metrów pod nami — powiedział stary. — Można się tam dostać podkopem wprost ze starego szpitala. Jest tam jeszcze drugi pasaż, węższy, trzeba się czołgać. Można nim dotrzeć do piwnic hotelu Grand, którego ruiny sterczą po drugiej stronie ulicy.

— A gdzie jest jedyńka, pierwsza stacja metra? — zapytał Sid, kiedy smarował swoją niezawodną parabelkę.

— Stacja jeden jest położona pod dworcem Świebodzkim, jakieś dwa kilometry stąd. Arkosolium prowadzące do niej biegnie pod ulicą Piłsudskiego. Na wysokości Powstańców Śląskich jest odnoga, niestety niedostępna, bo zalana. Tamtędy tunel metra przebiega niemal w linii prostej aż do Bielan. Dostęp do tej nitki podziemnej kolejki jest możliwy jeszcze z jednego miejsca. Właz jest pod stacją numer jeden.

— Jedyńką rządzi Szachista — powiedział Sid.

— Słyszałem o nim. Podobno wybitny strateg. Wrogom przed śmiercią proponuje partię żywych szachów.

— Tak właśnie jest. Zarządza wielkimi składami alkoholu, który skradł z wrocławskich hurtowni.

Sid wspomniał stare czasy: suto zakrapiane imprezy, bary i knajpy.

— Pamiętam z filmów, jak ze Świebodzkiego zaraz po wojnie odjeżdżały pociągi z wypędzonymi Niemcami — powiedział stary. — Trzydzieści lat później kursowały stamtąd składy do nieodległego więzienia. Z końcem XX wieku zamknięto dworzec. To piękny, zabytkowy kompleks z bogato zdobioną elewacją, zegarem na wieżyczce i bramą z filarami. Pamiętam teatr, który znajdował się na terenie dworca. Chodziliśmy z żoną na spektakle, lubiła komedie. I te perony, stary parowóz, knajpka w wagonie, coniedzielny bazar wypełniony ludźmi... Tęsknota za minionym. Zapach niezapominajek.

— Musimy się tam przedostać i odnaleźć włącz od kanału łączącego Świebodzki z metrem pod Powstańców — powiedział Sid. — Co z trójką?

— Trzecia stacja jest pod bunkrem na Grabiszyńskiej. Bunkrów tak w ogóle jest kilka, tych, które stanowią oddzielne stacje i łączą miasto siecią tuneli. Stadion Olimpijski skrywa pod ziemią trzynastkę. Poza stacją trzynastą, za czasów wojny były tam głęboko wydrążone przez Niemców ogromne sztolnie, w których mieściły się magazyny żywności, fabryka uzbrojenia i skład broni dla oblężonego Festung Breslau.

— Słyszałem o stacji pod stadionem — wtrącił Sid. — Mutaki nie wiedzą, jak się tam dostać. Ludzie także próbują odnaleźć przejście. Wielkie leje na drogach i promieniowanie skutecznie ich odstrasza. Głód jednak jest silniejszy od rozumu, chęć przetrwania na ogół zwycięża i

zmusza do podjęcia ryzyka. Tysiące puszek z żarciem, biblijna manna, ziemski raj, który czeka na odkrywcę. Masz, zapal jeszcze i ruszamy.

— Nie chcę — powiedział kolejarz.

Dzieciak już się obudził, w kącie załatwiał potrzebę. Płakał, słyhać było jak ciągnie nosem i szlocha.

— Synuś, chodź tutaj. Masz, napij się. Sid dał nam wodę. Masz też tabletki, dobre na ból zębów i głowy. Mnie łeb rwie już od dawna. Synuś, chodź tutaj, nie daj się prosić. Niebawem ruszamy.

W słabym świetle kopczącej świecy dało się zauważyć zbliżającą się postać chłopca, który zahaczał butami o śmieci i żelastwo. Po podłodze sunęły opasłe szczury, trzymały się z dala od ognia. W szczelinach tunelu polowały pająki, a po ścianach szły ciemne karaczany. Chłopiec usiadł obok kolejarza, odchylił maskę i napił się wody. Była pyszna, dawno już tak dobrej nie pił. Sid pociągnął łyka gorzały z metalowej piersiówki. Zjedli trochę pasty energetycznej, przesłodzonej, mdłej, przywracającej nadwątlone siły. Świeca zgasła i zapanowała ciemność.

— Dziadziuś, boję się — powiedział chłopiec, kiedy ostrożnie przesuwiał się wzdłuż gładkiej ściany. — Zaświećmy światło. Słyszę jakieś odgłosy.

— Nie możemy, nie teraz. Sid powiedział, że jak będzie można, to zapali latarkę, którą ma na masce. Idź dalej, synuś, za jakieś trzydzieści metrów skrećisz w lewo.

Po ścianie przeszły owłosione robaki. Chłopiec wyczuł je ręką, którą zaraz cofnął. Nadepnął wtedy na coś i się potknął, narobił rumoru.

— Ciszej, kurwa — zaklął Sid. — Łazić nie umiesz? Zaraz cię nauczę.

— Nie chciał — powiedział kolejarz. — Synuś, prawda, że nie chciałeś?

Chłopiec nie odpowiedział.

Zmierzali tunelem w stronę pierwszej stacji, ominęli łącznik i przeszli obok kanału prowadzącego do Granta. Na dobre opuścili strefę schronu i podziemnego szpitala dworca Głównego.

— Nad nami jest Piłsudskiego — powiedział kolejarz.

— Cicho, stary — rzucił Sid.

— Dlaczego tak go nazywasz? Nie możesz mówić dziadek?

Sid zatrzymał się i wyjął broń. Po chwili dało się usłyszeć suchy trzask zamka, kiedy przeładowywał spluwę.

— No, co, znowu się mnie czepiasz? — bronił się młokos.

— Cicho, młody — zagaił nieprzyjemnie Sid. — Ktoś tu jest.

Po ścianach tunelu spływała woda, słyszeli jak gdzieniegdzie skapywała na podłozie. Oddychali przez maski, niewiele widzieli. Wyobrażali sobie tylko mutantów, którzy mogli czaić się kilka metrów dalej. Sid przylgnął do prawej ściany, chłopiec sunął wzdłuż lewej, za nim podążał kolejarz. Starali się omijać klamoty, które leżały na podłozu. Umiejętnie przenosili nogi nad różnymi przeszkodami, tylko chłopiec był nieuważny i często w coś kopał. Sid miał już tego dość. Na szczęście okazało się, że nikogo tam poza nimi nie było. Kilka szczurów otarło się o ich nogi i podreptało w tylko sobie znanym kierunku.

— Te cholery najlepiej znają podziemia Wrocławia. Gdyby tak jednego wytresować i podążyć za nim — powiedział Sid. — Ale są napasione trupim mięsem.

— Nic z tego — powiedział kolejarz. — Są mniejsze, łatwiej jest im przecisnąć się przez szczeliny. Doskonale wyczuwają wodę. Bezbłędnie omijają zalane miejsca. Mój ojciec opowiadał mi, że w 1945. po kapitulacji twierdzy Breslau, po Wrocławiu chodziły wielkie szczury. Niektóre były większe od kotów, i były ich tysiące.

Trzy pokolenia ludzi dzielnie walczących o przetrwanie, idących w stronę kolejnej służby.

Kapanie ustało i zrobiło się bardzo gorąco. Ciężko się oddychało, chcieli nawet zdjąć niewygodne maski, ale żaden z nich się nie odważył. Sid sprawdzał dotykiem ścianę. Natrafił na jakieś przewody, dalej były jeszcze grube, zimne rury, a po nich kolejne przewężenie. Musieli się przez nie przeczołgać. Zdjęli plecaki. Pierwszy przeszedł chłopiec i choć bał się jak diabli, musiał to uczynić. Sid powiedział, że jak tego nie zrobi, to odstrzeli mu łeb. Po dłuższej chwili cała trójka była już po drugiej stronie. Powstali z kolan. Dokładnie sto kroków dalej minęli z lewej służbę, za którą, być może był tunel metra. Na prawo, pod Świdnicką były podziemia arkad z niedużym schronem. Metalowa pokrywa wjazdu była nienaruszona. Poszli prosto. Ciężko im się szło, kolejarza bolały kolana i plecy, a chłopiec narzekał na podkręconą kostkę. Sid nie uskarżał się na nic. Chłopiec wiedział, że i jego zapewne coś bolało, ale z jakiegoś powodu nie chciał dzielić się z nimi tą wiedzą.

— Był twardy, jak tory kolejowe — pomyślał dzieciak. — Jak grube żel-betonowe ściany schronu. Nie to, co ja, marny, zabiedzony i narzekający.

Ugryzł się w język, zacisnął zęby. Po raz pierwszy się nie poskarżył, choć ból był nieprzyjemny, a na języku dało się wyczuć słodkawego posmak. Sid mocno imponował chłopakowi.

— Tu są podziemia Hali Targowej II, zbombardowanej w 1945 roku i rozebranej wiele lat później. Potem w tym miejscu był plac handlowy, zwany Zielińskiego — wyjaśnił stary. — Tunele jednakowoż po hali pozostały. Podobna konstrukcja była wybudowana niedaleko placu Nowy Targ, których podziemia łączyły się ze sobą, a nitki kanałów prowadziły wprost pod Ostrów Tumski.

— Można to jakoś ominąć? — zapytał Sid. — Do Świebodzkiego już niedaleko.

— Nie bardzo. I tak musimy zejść z kursu, dalej tunel pod Piłsudskiego jest zalany. Odkąd rzeka przełamała wały na Odrze, fosa bez przerwy go zatapia.

Chłopiec sapał, ale się nie skarżył. Targał plecak swój i Sida, który repetował broń.

— Umiesz strzelać? — spytał kolejarza.

Ten zaprzeczył, gdyż brzydził się broni.

— Wiesz, co, stary, młodemu nie dam spluwy, bo jeszcze się postrzeli. — Który to wjazd?

— Następny.

Sid dotknął pokrywy, była zimna. Przyłożył do niej ucho.

— Głucha cisza - pomyślał.

Było ciemno i zrobiło się zimno.

— Odsuńcie się, otwieram — powiedział do kolejarza i chłopaka.

Ciężkie wrota nie tak łatwo było otworzyć, dał jednak radę i z tym. Weszli do środka. Tunel wydawał się węższy i było tam znacznie cieplej.

Przeszli może z dwadzieścia metrów i skręcili w lewo, pojawiły się szczury i robaki.

— Słyszysz? — Sid spytał chłopaka.

— Tak.

Mięśniak wyciągnął przed siebie rękę z bronią.

— Żerują, skurczybyki. Na trzy wchodzimy.

Chłopiec nie chciał, kolejarz także nie kwapił się z wejściem do środka. Nikt nie lubił niezapowiedzianych gości w porze obiadowej.

— Raz.

Chłopak zebrał się w sobie. Dziadzius wiedział, że innej drogi nie było. Muszą tamtędy przejść.

— Dwa.

Kolejarz złapał za plecak, w drugiej ręce błysnął rewolwer, który wziął od obcego.

— Trzy! — oznajmił Sid.

Chłopak miał wizję, która trwała sekundę albo dwie. Zobaczył słońce, biało-żółte, gorące, którego palące promienie raziły oczy. Błyszcząca kula trwała na szczycie morskiego nieba, ani jednej chmurki nie było na nim. Zielone korony drzew kołysały się w rytmie letniego wiatru. Niewidoczne ptaki wily w nich swoje gniazda. Słyszał pisklęta, słyszał dorosłe ptaki, ich świergot, ptasi śpiew i trzepot skrzydeł. Gzęgźółki, żdźbła trawy, motyle, oraz babie lato. Ujrzał na tle firmamentu potężny budynek, który wyglądał jak wielki fallus. Sky Tower był ogromny, a jego wieża najwyższa w Polsce do roku 2013, kiedy to w

Warszawie wybudowano obiekt trzystumetrowy. Brzask, jutrzienka i żółć, i otwarta szkarłatna szkatułka, z której wysypały się cudne marzenia.

— Jeszcze nas nie dostrzegły — powiedział Sid, kiedy wślizgnął się do środka.

— Jest ich wiele — oznajmił kolejarz. — Dużo za dużo, jak na nas trzech.

Chłopiec bał się odezwać, usłyszał szczebiot, skrzypienie i szelest. Ujrzał dżdżownicę i chrząszcza na mokrych źdźbłach położonej trawy, i żrebaka, i budynek szkoły w oddali. Sielskie obrazy zniknęły.

— Pałą ognisko, ogrzewają się, jakiś kociołek wisi nad ogniem?

Sid przytaknął kolejarzowi.

— Stary dobrze gada. Ciekawe, co żrą mutaki?

Chłopiec wolał nie wiedzieć.

— Gdzie jest wjazd od tunelu, którym dojdziemy do Świebodzkiego?
— spytał Sid.

Kolejarz wskazał palcem.

— A więc jednak — rzucił Sid. — Musimy przejść obok nich.

Skradali się tuż przy ścianie, żeby nie dojrzały ich do ostatniej chwili. Szerokie plecy Sida i jego kocie ruchy zaintrygowały chłopca. Kolejarz powłóczył nogą, starał się nie hałasować. Obcy zajęci byli rozmową, niektórzy z nich śmiali się na głos, inni jedli w kącie. Chłopiec słyszał, jak głośno mlaskali, tak jakby mieli zdeformowane usta. Po chwili dojrzał wreszcie ich sylwetki z bliska. Było to stado, rodziny, a wśród nich młode osobniki. Niektórzy nosili maski, pozostali wyglądali okropnie. Zdeformowane ludzkie twarze wyglądałyby lepiej. Skóra płatami

schodziła im z policzków, włosy były spalone, brakowało nosów i uszu, miały wybałuszone, czerwone oczy. Ich tępy wzrok lustrował garnek z parującą zupą. Obok gara leżało rozbebeszone ciało.

Sid zobaczył wtedy, że za tłumem zdeformowanych mutantów kucało kilkoro ludzi. Mieli ręce skrępowane drutem i byli przypięci łańcuchem do ściany. Kiedy Sid podszedł bliżej, zauważył, że ich usta były zaklejone taśmą. Byli przerażeni, trzęśli się i płakali, próbując zerwać więzy kajdan. Ktoś dorzucił do ognia i buchnął płomień. Wtedy w schronie pojaśniało. Ściana, przy której sunęli Sid, chłopak i kolejarz, stała się dobrze widoczna. Wtedy dostrzegli się wzajemnie. Mutaki zaatakowały. Niektóre poruszały się na dwóch nogach, tak jak ludzie, inne sunęły niczym szczury przy podłodze prosto w stronę wystraszonego chłopca.

— Stary, wal w tego z lewej — powiedział Sid. — Ja biorę na siebie tę wszetecznicę, matkę stada ludzi-nieludzi.

Padł pierwszy strzał i wskazana matrona upadła na pysk, pocisk utkwiał w jej brzuchu. Sid włączył latarkę, przymocowaną do pistoletu. Cienka strużka światła skakała po czołach popromieńców, którzy padali na ziemię, niczym rażeni piorunem. Kolejarz w końcu wystrzelił. Wpakował garść ołowiu w kłębiące się przy podłodze ciała, które już wyciągały w jego stronę masywne paluchy, uzbrojone w długie, twarde pazury, przypominające orle szpony.

— Zdychaj, cholero! — pokrzykiwał Sid, kiedy jego spluwa, niczym naruszona żelazna szczeka, wypluwała kolejne zęby ze stali.

Mutaki pluły kłami w kolorze ziemi, kiedy raził je precyzyjnymi ciosami ręki albo nogi. Chłopak był zachwycony siłą uderzeń buta żołdaka.

— Nic do ciebie nie mam — powtarzał kolejarz do każdego napotkanego stwora, który syczał na niego i szykował się do skoku.

Powtarzał, a potem strzelał, a gdy skończyły mu się kule, walił je po łbach ciężką kolbą.

— Uważaj! — krzyknął chłopiec do Sida. — Za tobą, tato!

Sid zdębiał, zareagował jednak bezbłędnie. Kopnięciem obrotowym powalił stojącego za nim napastnika. Potem wbił mu nóż myśliwski po rękojeść prosto w serce. Mutant zakwilił i zdechł.

— Dzięki, młody — rzucił Sid w stronę chłopaka, który gdzieś się skrył.

Pozostałe mutaki schowały się w ciemnych zakamarkach obszernego schronu, skąd licznymi kanałami pouciekały w nieznane miejsca.

— Są jak szczury — rzucił kolejarz, z trudem łapiąc powietrze do płuc. — Żerują, a potem chowają się po dziurach.

— To jakaś nowa grupa, dotąd ich nie spotkałem — oznajmił Sid, poprawiając ubranie.

Potem przeładował broń i wyłączył światełko latarki na pistolecie. Ognisko już dogasało, więc włączył lampkę przymocowaną do maski na twarzy.

— Jest ich pełno — dodał stary. — Są jak szarańcza, pochłaniająca roślinność. To hieny, tak samo jak one ogołocą mięso do kości. Nie mają żadnych skrupułów.

— Uciekły — wydukał chłopiec.

Sid i stary zerknęli na niego.

— Młody się znalazł — zażartował Sid. — Gdzieś ty był, jak żeśmy wojowali?

Chłopiec nie odpowiedział.

— Daj mu spokój — powiedział jowialny kolejarz. — Wiele przeszedł.

— Jak my wszyscy. Poczciwy staruszek — rzekł z ironią Sid. — Niech sobie smyk nie myśli, że dostanie taryfę ulgową. Po moim trupie. Za karę będzie pilnował garnków z wodą, kiedy będą grzały się na ogniu, a do kąpieli wejdzie ostatni.

Chłopiec nic nie powiedział, a kolejarz nic więcej nie dodał. Wszyscy uznali sprawę za zakończoną. Sid uwolnił z łańcuchów skrępowaną rodzinę. Kobieta podbiegła do leżącego nieopodal martwego dziecka i wtuliła się w jego rozwleczone wnętrzności. Jej twarz pokryła się krwią.

— Gdzie ten właz?

Słowa Sida wybiły chłopca i kolejarza z zadumy. Obaj płakali.

— Tam, za filerem. Okrągły właz z wygrawerowanym, niemieckim napisem i obrotowym zamknięciem.

Sid westchnął i spojrzał na żerdzie.

— Życ nie umierać — rzucił na odchodne. — Zbierać się, idziemy.

— A oni? — zapytał chłopiec, wskazując na uwolnioną rodzinę.

— Nie moja sprawa.

Chłopiec się oburzył.

— Jak to nie twoja?

Sid odwrócił się i złapał młodego za chabety, po czym podniósł go do góry. Spojrzał mu wtedy prosto w oczy. Chłopiec zamknął je, takiego spojrzenia nigdy nie widział.

— Pamiętasz, co ci mówiłem? Przypomnij sobie. Zabrać ze sobą, albo zabić. Dla ciebie zrobiłem wyjątek. Teraz znowu to robię...

— Poszedłeś nawet krok dalej — zakpił kolejarz. — Nie ciągniesz ich ze sobą, pozwalasz odejść.

— Stary?!

Sid nie przebierał w słowach, bo po wywołaniu kolejarza puścił dodatkowo kilkudzaniową wiązaną najgorszych przekleństw.

— Sam jesteś stary. To jest dziadek, dziadziuś — powiedział chłopiec.

Sid coś sobie wtedy przypomniał.

— A ja jestem twój tatuś? Co ty sobie myślisz, szczeniaku? Że kim ty niby jesteś, że wprowadzasz tu rodzinne powiązania? Nic o mnie nie wiesz i lepiej niech tak zostanie.

Chłopiec milczał, na szybkach jego maski od środka pojawiła się wilgoć.

— Spadamy stąd — nakazał Sid. — Pieruńska rodzinka, kierunek włącz!

Kilka minut później byli już w kanale. Kolejarz wskazał odnogę, którą mogliby przedostać się do piwnic sądu przy ulicy Sądowej. Tam nie było stacji, ale były niezbadane metry kanałów i tuneli, które biegły pod wielkim gmachem. Prawdopodobnie był tam magazyn zarekwizowanych

narkotyków. Kazamaty sądu łączyły się z piwnicami aresztu śledczego. Poszli prosto do Świebodzkiego.

Kolejne metry w ciemnym kanale, następne pełne grozy chwile spędzone w marszu w czarnym tunelu. Sam na sam z własnymi lękami i słabościami. Ich trzech, jakże różnych od siebie i jakże podobnych jednocześnie. Trzy pokolenia wyrwane z różnych epok tego samego miasta i wrzucone do wspólnego kotła z napromieniowaną pożywką. Ciemność, błysk światełka latarki i cisza. Metaliczny posmak na języku. Głuchy oddech pod maską, zachodzące parą osłony na oczy, ból ciała, strach i zbitka szalonych myśli.

— Musimy się czołgać — powiedział stary.

— Zmieścimy się?

Kolejarz spojrzał na Sida.

— Myślę, że tak.

Sid zaklął.

— Myślisz? Nie jesteś pewny?

— Nie pamiętam! Myślisz, że wszystko pamiętam? Ty też masz wszystko w głowie?

Sid przeprosił, zaskoczył ich tym. Poklepał kolejarza po plecach. Chłopiec odetchnął.

— Ty pierwszy — nakazał chłopcu czołgać się i po tym, jak młodzian zniknął mu z oczu, ruszył za nim. Kolejarz był ostatni, ciągnął za sobą powiązane rzemieniami plecaki.

— Ile jeszcze? — zapytał chłopiec.

— Niewiele, zaraz powinniśmy dotrzeć do ostatniego korytarza — odparł dziadziuś. — Potem kanał i schody w dół, kilkanaście stopni, a dalej tunel, którym dostaniemy się pod dworzec Świebodzki.

Zrobili krótką przerwę.

— Chcę pić — powiedział chłopiec. — Zjadłbym drożdżówkę z jabłkiem.

Sid podał mu butelkę, a kiedy chłopiec ją złapał, żołdak nie puścił jej. Przez chwilę trzymali ją obaj.

— Wiedz, że cię polubiłem — powiedział do chłopca, puścił butelkę i zgasił lampkę.

Chłopiec napił się i podziękował. Potem długo milczeli.

Ostatni tunel przeszli na stojąco, był ciemny i wilgotny, tak jakby nagle znaleźli się nocą w jakimś tropikalnym lesie. Tylko zapach był nie ten sam. Zamiast roślinności, czuli metal w ustach. Jediną wspólną rzeczą dla obu tych miejsc, był strach, który od dłuższego czasu im towarzyszył. I samotność, ona była najgorsza. Nie zapalili jednak światła, nawet zapalki, niczego. Weszli po betonowych schodkach, potem betonowym holem przedostali się do małego zaułku, gdzie odnaleźli metalową drabinkę, wbetonowaną w żel-betonową ścianę pionowego szybu. Ostatnie metry były najtrudniejsze, ostatnie szczeble jakubowej drabiny okazały się dla nich prorocze. Sid uchylił właz.

— Widzisz coś? — pytali go.

— Widzę ciemność i niewyraźne kontury.

— Poświeć latarką — poradził chłopiec.

Sid warknął na niego, aby się zamknął.

— Nic, tylko ciemność. Idziemy.

— Poczekaj — powstrzymał go stary. — Posłuchaj ździebełko...

— To wiatr.

— Nie, to nie wiatr — powiedział stary. — To nie wiatr.

Było już jednak za późno. Po tym, jak Sid opuścił kanał, ujrzał wycelowane w pierś lufy pepesz.

— I co? — dopytywali spod ziemi.

Sid milczał.

— Czemuż? — rozmyślał.

Po chwili cała trójka stała obok siebie.

— To się nam trafiła gratka — powiedział mężczyzna w żółtym kombinezonie.

Sid, kolejarz i chłopak nawet nie zdążyli zaprotestować.

— Dałem się podejść — pomyślał Sid. — Niech to diabli.

Poprowadzono ich do schronu. Ciężko schodziło się po stromych schodkach ze związanymi rękami. Stanęli na równej posadzce, po której niemrawo się poruszali, jakby odwlekając moment niechcianego spotkania. Sterty papierów i śmieci zalegały pod nogami. W ostatnim pomieszczeniu, do którego weszli przez rozszczelnioną śluzę, ujrzeni jasne światło. Słyszeli pracujące generatory. Miejsce to przypominało raczej gustownie urządzonego pokój, niżli podziemny schron. Ściany były pomalowane, panele zdobiły podłogę i było czysto. Pośrodku pokoju stał duży orzechowy stół, zastawiony jedzeniem. Białe skórzane sofy stały obok rozpalonego kominka. Na ścianach wisiały stare obrazy. W kącie

lśniły butelki, wyeksponowane w modnym barku, a po drugiej stronie kwatery pięknie prezentowała się dębowa biblioteczka z książkami, licząca tysiąc tytułów. Dywan w biało-czarną szachownicę idealnie pasował do nowoczesnego wnętrza.

— Świat jeszcze się nie skończył — rzekł podekscytowany chłopiec.

— To, co dostrzegasz, jest tu — powiedział Szachista i wskazał na głowę. — Możesz zobaczyć to, co chcesz widzieć, ale może być też tak, że nie dostrzeżesz prawdy. O tym, co jest prawdą, a co tylko złudnym mirażem, musisz już zdecydować sam.

Chłopak spojrzał na mężczyznę o jasnej skórze i białych włosach. Jego niebieskie oczy błyszczały w mocnym świetle. Kolejarz przymknął powieki. Sid zaś gapił się na gospodarza, jak na oderwanego od rzeczywistości boskiego orędownika, którego kiedyś spotkał na swej drodze, i którego to później zabił.

— Nie będę was pytał, po co przyszliście, bo i tak nie powiecie mi prawdę, ale ja wiem swoje. Chcecie palącej wody, więc wam ją dam, ale nie ma nic za darmo. Najpierw zagramy w szachy, stawką będzie wasze życie.

Po tych słowach postaci w maskach wniosły i ustawiły na dywanie białe i czarne bierki.

— Ja będę grał czarnymi — dodał i strącił z planszy czarnego pionka i czarną wieżę.

Sida ustawiono na H1, a chłopca na G8.

— Będiesz ze mną grał — wytypował do gry kolejarza. — Zwiększę tym wasze szanse, bo wiem żeś z nich najbystrzejszy. Jeśli wygrasz, dam

wam tyle alkoholu, ile uniesiecie. Jeżeli jednak przegrasz, to zginiesz. Żeby wyrównać szanse, postawię na szachownicy swoich ludzi.

Podszedł do bierok starego i strącił dwa środkowe pionki. Na ich miejscu postawił kobietę i mężczyznę, którym nakazał zdjęcie masek.

— Zaczynaj — powiedział.

Kolejarz przesunął pionka o dwa pola.

— Dlaczegoż wybrałeś skrajnego pionka? Jeżeli przegrasz, umrzesz.

— Graj — powiedział stary. — Tylko gadasz. Było przed tobą wielu takich, którzy tylko gadali.

Partia trwała już jakiś czas. Szachista przestawił chłopaka o dwa pola naprzód, wystawiając go pod konia starego.

— Zbij — podjudzał Szachista. — Zbij, będziesz miał przewagę. Ocalisz skórę.

Stary nawet nie spojrział na przeciwnika. Nie zbił chłopaka. Nie wykorzystał szansy. Zagrał mężczyzną-pionem do przodu, wystawiając go tym do zbiccia. Innej możliwości nie miał.

— Skoczek bije pionka — powiedział Szachista, po czym odstawił pustą szklanę, wstał od stołu, podszedł do swojaka, wyciągnął pistolet i strzelił mu prosto w głowę. — Wiedz, że chcę wygrać — rzekł. — Nie chcę dzielić się moim alkoholem.

Kolejarz znieruchomiał. Sid uwolnił się z więzów i zatkał palcami uszy. Chłopak o mało nie szczeł.

— Trzeba kierować się sercem i patrzeć sercem, bo umysł skłonny jest kreować nierealne światy i nieprawdziwe prawdy — rzucił stary i

wysłał pionka-kobietę o dwa pola naprzód, mijając linię bicia czarnego laufra.

— Chronisz ją? Nie zaprzeczaj. Nic ci to nie da. Nawet remis jej nie pomoże. Mogłem postawić ją na miejscu króla, dać szansę, ale wiesz, czemu tego nie zrobiłem?

— Nie interesuje mnie to.

— Nie broń się przed przeznaczeniem.

Po tych słowach Szachista postawił wieżę-Sida obok królowej starego.

— Teraz albo nigdy. Ona, on, oni wszyscy, a co za różnica? Istnieją i umierają. Wczoraj była moją kochanką, dzisiaj ochroną i bierką w grze, jutro mogę ją zjeść. Pomyśl o tym i zbij wieżę!

— To nie wieża, to mój syn!

Partia trwała już bardzo długo. Zegar wiszący na ścianie stanął na amen. Wskazówki z Głównego zatrzymały się na dwunastej. Na placu gry zostało niewiele bierek.

— Chronisz ich, choć to moje bierki. Nie chcesz wygrać, choć stawką jest twoje życie. Oszukujesz!

— Proponuję ci remis — powiedział kolejarz.

Szachista zamyślił się i stracił płynność wypowiedzi.

— Jeszcze nikt mi tego nie zaproponował — odparł.

Stary uśmiechnął się.

— To jest moja rodzina — oznajmił. — Syn i wnuk. Na rodzinach opiera się wszystko, stanowią fundamenty społeczeństw. Samotność cię zabija. Stałeś się egoistą, a egoizm niszczy wszystko.

Szachista bez namysłu przystał na remis. Po chwili zerknął na kolorowe flaszki.

— Zabić ich wszystkich — wydał rozkaz.

Wtedy stało się coś niezwykłego. Chłopiec przeraźliwie krzyknął, a zrobił to tak, że niemal wszyscy zemdleli.

W jego głosie drzemie wielka siła — pomyślał Sid, kiedy odsłaniał uszy. — Którędy do tunelu prowadzącego do metra? — pytał i cucił starego.

— *Subway?* Sid, pomóż mi iść i zabierz chłopca.

Na zewnątrz ujrzeni puch skrzący się na trotuarze. Po kilku minutach otwierali już wąż od kanału. Zabrali ze schronu swoje plecaki, żółte kombinezony, hełmy, stare baterie, amunicję, wódkę i plakat gołej lali z dużymi piersiami. Sid tylko westchnął. Później poszli śladem tajemniczego Trzynastego Schronu, o którym od dłuższego czasu w mieście krążyły legendy.

— Synu? — zapytał chłopaka. — Gdzie jest ta łączność?

— Nigdzie. Nie istnieje.

Żołnierz uśmiechnął się.

— Powinienem to przewidzieć. Zawalczyłeś o siebie, tak jak dziadek.

Kolejarz zerknął zamglonym wzrokiem na mężczyznę, nic nie dodał. Po chwili cała trójka zniknęła w ciemnym tunelu.

— Naprawdę tak się nazywasz? — zapytał chłopiec.

Usłyszeli przebiegające szczury, a potem zapanowała cisza, którą złamały dopiero uderzenia butów o podłogę i drwiący głos Sida.

— To skrót od skurwiel i drań.